



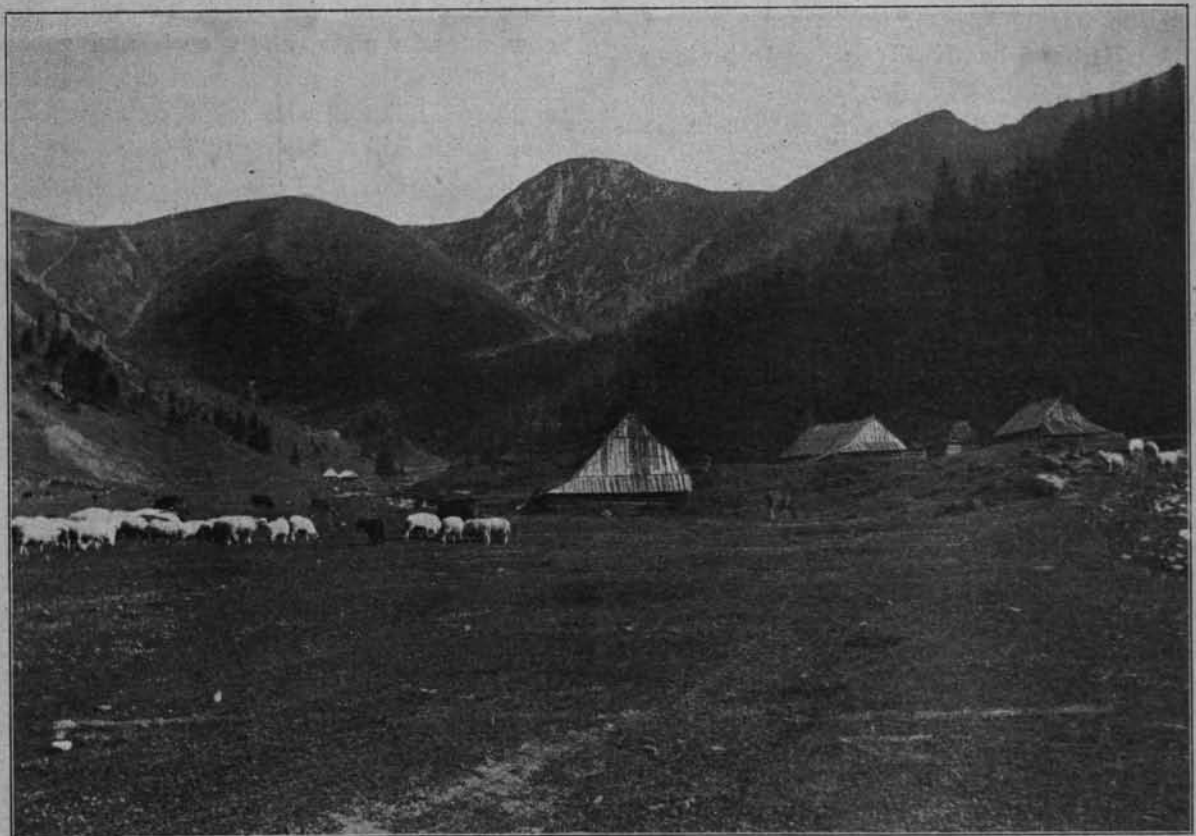
Własność ziemska w Poznańskim.

(Dokończenie).

Największym polskim właścicielem ziemskim w Księstwie jest Ferdynand ks. Radziwiłł, do którego należy ordynacja Przygo-

dzicka w pow. odolanowskim i ostrowskim z obszarem 15,630 hektarów.

Drugim z kolei pod względem obszaru



HALA W DOLINIE JAWORZYNKI.

Do art. „Karpały“.

Fot. W. Lebedziński.



posiadanej ziemi właścicielem jest Witold hr. Skórzewski z Lubostronia, którego dobra łabiszyńskie w pow. szubińskim obejmują 12,885 ha.

Z kolei wymieniamy poniżej wszystkich właścicieli Polaków, posiadających ponad 4,000 hektarów.

Władysław hr. Zamoyski z Kurnika — 7,995 ha.

Maksymilian hr. Mielżyński z Pawłowic — 7,429 ha.

Józef Kościelski z Miłostawia — 7,170 ha.

Aniela hr. Potulicka z Potulic — 6,585 ha.

Bogdan hr. Hutten-Czapski ze Smogulca 6,389 ha.

Marya hr. Bnińska z Samostrzela — 6,212 ha.

Helena Gąsiorowska z Bytynia — 6,180 ha.

Zygmunt hr. Potulicki-Skórzewski z Próchnowa — 5,487 ha.

Jadwiga ks. Czartoryska z Konarzewa — 5,340 ha.

Zygmunt Chłapowski z Turwi — 5,122 ha.

Hektor hr. Kwilecki z Kwilcza — 4,886 ha.

Bolesław Potocki z Daków Mokrych — 4,706 ha.

Barbara hr. Kwilecka z Dobrojewa — 4,658 ha.

Jadwiga hr. Zamoyska z Trzebawia — 4,500 ha.

Stefan Łącki ze Lwówka — 4,469 ha.

Antoni Taczanowski z Taczanowa — 4,438 ha.

Zdzisław ks. Czartoryski ze Starego Sielca — 4,246 ha.

Zbigniew hr. Węsierski-Kwilecki z Wróblewa — 4,243 ha.

Edmund Taczanowski z Szyplowa — 4,211 ha.

Jan hr. Czarnecki z Golejewka — 4,003 ha.

Z pośród wymienionych powyżej właścicieli największych majątków w Księstwie trzy tylko osoby, mianowicie hr. Władysław i hrabianka Jadwiga Zamoyscy oraz ks. Jadwiga z Dzieduszyckich Czartoryska, mieszkają stale poza granicami Poznańskiego i nie są poddanymi państwa pruskiego. Wszystkie te trzy osoby odziedziczyły posiadane dobra po wygasłej już rodzinie Działyńskich, a stale zamieszkiwanie w tych majątkach poznańskich jest im przez policję pruską wzbronione.

Z tej grupy największych majątków polskich w Księstwie ubyła w ostatnim ćwierćwieczu jedynie Rydzyna, która w r. z. po bezpotomnym zgonie ostatniego ordynata, ks. Sułkowskiego, przeszła w ręce rządu pruskiego, jako rzekomego spadkobiercy polskiej Komisji Edukacyjnej. Ordynacja Rydzynska obejmowała 7,590 hektarów. Przeszła również ostatecznie w ręce ziemczonęj i ewangelickiej linii hr. Raczyńskich ordynacja Obrzycka, obejmująca 4,793 ha. obszaru.

Polska większa własność ziemska grupuje się obecnie głównie w środkowych powiatach Księstwa oraz we wschodniej części prowincyi. Powiaty zachodnie, a w znacznym stopniu również północne i południowe, zostały już w bardzo znacznym stopniu zalane przez Niemców.

Największe obszary z pośród Niemców posiadali według danych z przed lat kilku: ks. Thurn-Taxis (25,315 ha), ks. Hohenzollern-Sigmaringen (23,181), Kennemann (10,975), hr. Sachsen-Altenburg (10,628), ks. Pless (9,542), hr. Stolberg-Wernigerode (8,010), Hansemann (7,925) i cesarz niemiecki (6,837). Naogół z pośród właścicieli ziemskich Niemców mieszka mało co więcej nad połowę w tych majątkach poznańskich. Natomiast z pośród kilkuset właścicieli ziemskich Polaków tylko kilku stale nie mieszka w Księstwie.

W celu utrwalenia posiadania ziemi w rękach niemieckich rząd popiera zawsze chętnie tworzenie fideikomisów i majoratów rodzinnych. Do obszaru niemieckiego zaliczyć również należy lasy państwowe, których obszar w r. 1907 wynosił 243,086 ha., oraz nabytki Komisji Kolonizacyjnej, stanowiące już obecnie bardzo obszerne kompleksy.

Do końca r. 1906 zakupiła Komisya ogółem w W. Ks. Poznańskim i Prusach Królewskich 325,993 ha., z czego w regencyi Bydgoskiej — 124,932 ha., Poznańskiej — 105,650 ha, Kwidzyńskiej — 76,127 ha. i Gdańskiej — 19,284 ha. Z całego tego obszaru spotrzebowała Komisya pod koniec tegoż roku 235,246 ha, a mianowicie: 2,112 ha. odprzedano na własność wolną, 54,288 ha. użyto na założenie dróg, wyposażenie gmin i urzędzeń gminnych, resztę zaś, t. j. 178,846 ha rozdzielono między 11,957 kolonistów.



Dotykając działalności Komisji Kolonizacyjnej, przechodzimy tem samym na teren własności drobnej, odgrywającej w życiu ekonomicznym, społecznym, a nawet i politycznym prowincji wielkopolskiej coraz większą rolę. Dotyczy to w równej mierze nas, jak i Niemców. Drobna własność niemiecka wzrasta wciąż wskutek energicznej akcji Komisji, własność polska rośnie szybciej jeszcze może dzięki pracowitości i żywiołowemu wprost ukochaniu ziemi przez nasze włościanstwo.

Stan własności drobnej w Poznańskim nie znalazł jeszcze swego monografisty, to też obraz jego nie da się zarysować dziś wypukle. W r. 1880 własność drobna polska obejmowała w Poznańskim 655,700 ha., także własność niemiecka — 399,500 ha. Stosunek ten do chwili obecnej zmienił się zapewne niewiele.

Od roku mniej więcej 1886 rozpoczyna się w Poznańskim era stopniowej przewagi własności włościańskiej nad własnością folwarczną. Uwydatnia się to już wyraźnie w obliczeniach statystycznych z lat 1882 i 1895. Pod pierwszą datą było ogółem w Księstwie 163,061 gospodarstw drobnych, o obszarze do 100 hektarów, pod drugą zaś — już 203,404 gospodarstw. A zwiększyła się znacznie nie tylko liczba gospodarstw karłowatych, obejmujących mniej niż 2 ha. (z 94,550 na 125,963) i od 2 do 5 (z 20,224 na 23,678), ale również i liczba gospodarstw rozleglejszych, mogących zapewnić rolnikom życie samodzielne:

od 5 do 20 ha. (z 36,602 na 41,125) i od 20 do 100 ha. (z 11,885 na 12,638).

To stopniowe przeniesienie punktu ciężkości życia społecznego w Księstwie z dworu do chaty odbywa się stopniowo, drogą ewolucji naturalnej, bez wstrząśnień i nagłych przewrotów materialnych, i dla tego nie znalazło dotychczas ani swego historyka, ani swego badacza. Nazewnątrż wciąż jeszcze Księstwo reprezentowane jest przez przedstawicieli dworu i plebanii, ale właściwy ton całokształtowi życia społecznego zaczynają od pewnego czasu nadawać rosnące w oczach nowe potęgi: kolonista niemiecki — i chłop polski. *)

Edward Maliszewski.

*) Podstawę do opracowania powyższego szkicu dały następujące prace i wydawnictwa:

Stefan Komornicki: *Zabory i kolonizacja niemiecka na ziemiach polskich z szczególnem uwzględnieniem W. Ks. Poznańskiego do roku 1848.* Lwów. 1894.

Dr. J. B. Marchlewski: *Stosunki społeczno-ekonomiczne pod panowaniem pruskim.* Lwów i Warszawa. 1903.

Księga adresowa polskich właścicieli ziemskich W. Księstwa Poznańskiego. Poznań. 1909.

Emil Caspari: *Polska wielka własność ziemska w Księstwie Poznańskim.* „*Ekonomista*”. 1909.

Dr. Józef Buzek: *Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków.* Lwów. 1909.



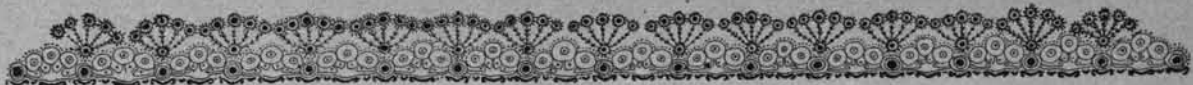
Grób Ojca Królewskiego.

(Dokończenie).

Nie byłby Poniatowski owym kutym na czterech nogach dyplomata, szcwanym lisem polityki, gdyby nie dostrzegł rosnącej potęgi nowej figury na szachownicy Augustowskiej. Szybko też przystaje Stanisław do potężniejącego stronnictwa, a że Czartoryscy mają do wzięcia siostrę, niekoniecznie młodą i niebardzo urodziwą, „istną gradową chmurą”, Konstancję, podtatusiały generał szybko odbywa konkury i syn nieznanego szlachetki

łączy się z księżniczką na Klewaniu i Żukowie, wnuczką Jędrzeja Morsztyna, głośnego poety.

Uroda żony małą grała rolę w obrachunkach generała, który już parę lat temu pisał figlarny list z Księstwa Dwóch Mostów do pani hetmanowej Sieniawskiej: „Mieszkańcy tu pełni galanterii. Najwięcej petycji otrzymuję od biednych dziewcząt i wdów, skarżących się na niewierność kochanków. Łatwość, z jaką uwierzyły zdrajcom, nasu-



TABLICA PONIATOWSKIEGO.

Fot. Al. Janowski.

wa mi smutne refleksje, że nierównie lepiej rządziłbym tym krajem przed dziesięciu laty, aniżeli dzisiaj“.

Świetna karyera szwagra Czartoryskich ciągnęła się długo: a doniosłość jego w polityce zewnętrznej zdumiewa śmiałością pomysłów i rozmachem godnym tego, kto Europę zjechał od Sztambułu do Sztokholmu, od Połtawy do Londynu.

W polityce swej zwraca on szczególną uwagę na północnego sąsiadą, z którym walczył jeszcze przy boku Karola. Obecnie rzuca bajeczne pomysły: radzi Augustowi II małżeństwo z Anną Iwanówną, rozpedzenie niemieckich ministrów Petersburga i złączenie z Polską Rosyi, której należy dać te same „prawa i swobody obywatelów, jakie my mamy“. Zatrzęsty się na te plany wszystkie Münnichy, Ostermany, Löwenwoldy i cała potężna klika „istinnno ruskich“ kierowników polityki z nad Newy, a że stary miłośnik drezdeński wkrótce też umarł, więc i plan Poniatowskiego rozwiął się jak chimera.

Ale bezkrólewie po śmierci saskiego Machiavella nowe otwiera pole do działania. Poniatowski nawiązuje stosunki z potężnym faworytem Birenem, przerzuca się na stronę Rosyi i pociąga za sobą łatwowierną „familję“. Działa na sejmach w porozumieniu z Keyserlingiem i Birenem. Familia weszła na śliską drogę oddania się pod opiekę bagnatów, które „gwarantowały wszelkie swobody Rzeczypospolitej“, a pomysł tego manewru

zdaje się, że rzucił mąż pani Konstancyi.

A już była to rozpasana orgia magnacka, gdy ohydną nieraz bronią walczone, i pomieszały się sumienia, i zawaliły więzienie etyczne, i szarpano rudłem skołatanej nawy państwowej w interesie prywaty. Prywata zapewne, a nie myśl patriotyczna słała młodzieńckiego Stanisława Augusta przed tron, a następnie i sypialnię Semiramidy północy.

Surowa matka paniczyka, „gradowa chmura“, sprzeciwiała się wyjazdowi syna „z religijnych skrupułów“, lubo całym sercem marzyła o wyniesieniu syna, jednak wstyd kobiecy i duma matki wołały o pozostanie w kraju Stanisława Augusta, ale mniej skrupulatny, w odmiennej sferze wyobrażeń wychowany kasztelan krakowski stanowczo uparł się i niezłomną swą wolą przeprowadził ponowny wyjazd syna do Petersburga.

Może ani przypuszczał, że toruje synowi szeroką ścieżkę do purpurą krytej sali tronowej w zamku nad Wisłą i do cierniowej korony ostatniego Piasta.

Jako 80 letni starzec jeździł kasztelan z ulubionych Ryk do Augusta III łątać niezbyt zrzęcznie przez syna załatwioną misję w Petersburgu. Ze łzami zapewniał króla o wiernej swej służbie i prosił o opiekę nad młodym birbantem. Było to ostatnie wystąpienie u dworu. W dniu 27 Października 1759 roku zmarła towarzysząca życia, „gradowa chmura“, a 30 sierpnia 1762 podążył za nią zgrzybiały starzec, który nie doczekał wielkich i ostatecznych tryumfów swej krwi. Mimo podeszłego wieku powodem śmierci kasztelana był wypadek, jadąc bowiem do Wołczyna do szwagra, zatrzymał się na odpoczynek przed austeryą i tu potknąwszy się o kamień, padł na wznak i obraził sobie krzyż. Wdała się z tego gangrena, ale łudzono się nadzieją, że choroba nie przyjmie obrotu tragicznego. Chory wypowiedział się, przyjął ostatnie namaszczenie i jak gdyby powracał do zdrowia. Wrócił mu dawny, żołnierski apetyt; zażądał gęsi pieczonej i jajek na twardo, organizm jednak wiekiem i chorobą znękany nie przetrzymał strasznej choroby, i kasztelan, trzymając w rękach obrazek Matki Boskiej, na blasze miedzianej malowany, zmarł ze słowami: „Proszę Cię, Boże, o miłosierdzie! Miłosierdzia, Panie!“

Złożono ciało pierwszego senatora Korony w podziemiach lichego drewnianego kościółka w Rykach. W księgach znajduje się do dziś akt zejścia: Die 30 Augusti anno 1762 Mortuus Stanislaus Poniatowski Castelanus Cracoviensis, hora

4 post meridiem, annorum 87, munitus omnibus Sacramentis et bene dispositus, sepultus in Ecclesia Ricensi ad latus Thesauris“.

Pamięć ojca uczczono dopiero w kilka lat później, już po koronacji syna i nadaniu książęcego tytułu całej rodzinie. Jak wielce dumni i zachwyceni byli Poniatowscy z nowego tytułu, najlepiej widać to z tej tablicy grobowej, gdzie „Jaśnie Oświecony“ tytuł przyznają też i zmarłemu ojcu, który właściwie nie miał do niego prawa. „Dom cały iest mitrą xsiążęcą przybrany“, brzmi napis tablicy, której nie brak zachwyty nad koroną jednego, a infułą drugiego syna. Niebrak też i błędów ortograficznych, których odrodzenie stanisławowskie mogło chyba uniknąć.

Czy ciało kasztelana jest dotychczas w Rykach—napewno nie można określić. Wejścia do grobu niema, a między służbą chodzą wieści, że ciało wyjęto i przewieziono, ale kiedy i dokąd, nikt nie umie objaśnić. Tak oto jedyne wspomnienie po dawnym ulubieńcu haremów Stambułu, wojaku z pod Połtawy, dyplomacie stolicy Europy, hetmanie, wojewodzie, kasztelanie, ojcu królewskim stanowi szara skromna tablica drewnianego kościółka w lichej i brudnej mieścinie podlaskiej.

Został jednak inny dokument patriotyzmu i uspołecznienia królewskiego ojca: to broszura p. t. „List ziemianina do pewnego przyjaciela z inszego województwa“. Na 12 kartach druku kreślone są projekty śmiałych i daleko idących reform przed sejmem 1744 roku. Zaleca ziemianin uporządkowanie skarbu przez nałożenie ceł, które „ażeby wszyscy bez żadnej excepcyi zarówno płacili“. W rozkwicie miast widzi zbawienie. Zaleca podatki od Żydów, boć jest „Polonia Paradisus Judaeorum“. Samowolę starostów należy ukrócić, „ażeby kwarta sprawiedliwa szła z nich na woj-



KOŚCIÓŁ W RYKACH.

Fot. Al. Janowski.

sko“. Ziemianin ograniczyć chce ilość klasztorów i liczbę zakonników: „o jak wiele codziennie widzimy zbyt prędkich, nieuważnych, niedojrzałych w obieraniu stanu zakonnego rezolucyi!“ Dalej ziemianin, widząc obszerne, odłogiem leżące role, uważa, że „mamy słuszną przyczynę prosić Stolicę Świętą o umniejszenie tak wielu świąt tygodniowych, które próżniakom miasto nabożeństwa dają okazję do zbrodni“. Ciemnota kraju jest przyczyną jego upadku. „Z tej okazji stawia mi się w myśli posyłanie młodych paniąt naszych do cudzych krajów, a to dla tego, ażeby nabierając światowej eksperyencji, informowali się razem o sposobach rządów, o ekonomii, o położeniu, o mocy, siłach, interesach różnych państw i stąd potem wybierali, co w Rzplitej przyzwoltego i pożytecznego być może“. Żąda wreszcie Ziemianin sprawiedliwości w sądach, twierdząc, że „dobry rząd i wewnętrzne bezpieczeństwo sprawiedliwością się najwięcej utrzymuje i utwierdza“. Ten szereg reform do lepszej doprowadzi przyszłości: „Miejmy siły, miejmy porządek, wszystko mieć będziemy, wszystko nam pomyślnie pójdzie: przyjaźni i koligacyi naszej nie jeden szukać zechce i pewną, a gruntowną sobie sławę u postronnych narodów sprawimy“.

Al. Janowski.





KARPATY.



MAPKA ETNOGRAFICZNA.

Podług Kozenna.

XVI. Wpływ na stosunki zaludnienia.

Idźmy dalej! Jeżeli doliny rzeczne są szlakami kolonizacji, to ten naród góry opanuje, ten w posiadanie je weźmie, który wcześniej zasiadł na okolicznych równinach. A że wody karpackie rozchodzą się ku rozmaitym pod względem etnograficznym równinom, więc też nie może być w Karpatach jednolitego zaludnienia. Od równin nadwiślańskich w górę brzegami dopływów karpackich Wisły weszli Polacy; dopływami Dniestru—Rusini; dopływami Wagu—Słowacy, a Cissą i Prutem—Rumuni i Węgrzy.

A że zbocza północne Beskidu są łagodniejsze niż południowe, więc też i doliny rzek północnych otwierają dogodniejsze drogi kolonizacji z północy, t. j. kolonizacji polskiej i rusińskiej. Dlatego właśnie Polacy w wielu miejscach przekroczyli daleko na południe linię grzbietu głównego, a Rusini opanowali południowe zbocza Karpat.

Ta okoliczność wreszcie, iż pierwiastek rusiński rozszerzył się aż do Popradu, a więc wszedł w sferę kolonizacji polskiej, da się wyjaśnić obfitością dolin podłużnych we wschodnim i Nizkim Beskidzie, a więc takich dolin, które łatwiej nadają się do osadnictwa niż poprzeczne.

Tak wielki wpływ wywiera siatka wód i cha-

rakter ich dolin na rozsiadanie tych czy innych pierwiastków etnograficznych. Od tych samych czynników zależy i gęstość zaludnienia. Boć rzeczą jest oczywistą, że im korzystniejsze warunki bytu nastęrcza człowiekowi dana kraina, tem on ją gęściej zaludni. To też jeden rzut oka na mapkę gęstości zaludnienia w Karpatach da nam pojęcie o stosunku tych dwóch zjawisk. Widzimy, jak w Beskidzie zachodnim i środkowym ludność gromadzi się gęściej, a rzadziej we wschodnim, jak osadnictwo skupia się w dolinach, a działy wodne mniej są przez nie zajęte. Jednym słowem mapka gęstości zaludnienia odtwarza nam w zupełności plastykę i kształty terenu gór naszych.

XVII. Wpływ gór na byt człowieka.

I cały byt górala musi być też zależny od warunków przyrodniczych najbliższego otoczenia. Dawniej, gdy natura miała bardziej pierwotny charakter, góral był przedewszystkiem zręcznym myśliwym, nieraz i zbójnikiem, a poza tem drwalem i pasterzem. To czynne, pełne nadzwyczajnych przygód życie, mające często charakter bohaterstwa, przechowało się w podaniach u ludu, a co



MAPKA GĘSTOŚCI ZALUDNIENIA.

Podług Kozenna.

do Tatr we wspaniałych, bo żywych i prawdziwych opowiadaniach Sabały. Słusznie St. Witkiewicz nazywa go Home-rem gór naszych. Tylko, że ten Homer żył do niedawna i zostawił nam obrazy z życia i przyrody gór jego ojczy- stych, z których czerpać można jak ze zdroju czystego.

I dziś myślistwo jest niepohamowa- ną namiętnością niejednego górala, pomi- mo kar i niebezpieczeństw, na jakie go naraża, obfitość zaś lasów ułatwia mu moż- ność obrabiania i spuszczenia na doliny drzewa.

A piękne i pasznicze hale czy połoni- ny zrobiły go pasterzem. Zbyt daleko jednak od siedzib ludzkich położone są te naturalne pastwiska, by każdy swój „statek“ sam pędził i pasał, to też musi go oddawać w opiekę specjalnym pasterzom: ju- hasom, bacom czy watażkom.

Gdy śniegi z wiosną topnieją, a doliny się zazielenią, ciągną w góry z dziedzin gromady by- dła większego i mniejszego pod wodzą bacy w to- warzystwie juhasów, juhasek i koni naładowanych naczyniami, sprzętami i kotłami, oraz psów kudłatych, które znakomicie strzegą stada. Po przybyciu całej tej czeredy, i różnorodnej i różno- barwnej, rozpoczyna się ruch i życie na hali. Wynędzniałe przez zimę bydło z chciwością rwie świeżą, soczystą paszę i pod wpływem ostre- go powietrza raźnie rozpięzcha się po wypoczę- tej przez zimę hali i po jej zboczach. Juhasi biorą się zaraz do opatrzenia i naprawienia sza- łasu czy koliby, która będzie ich jedynym schro- nieniem i warsztatem przeróbki mleczywa. Nao- koło słycać naszczekiwanie psów, pobekiwanie



KOLIBA NA HALI W DOLINIE JAWORZYŃKI.

Fot. Z. Sosnowski.

wreszcie nawoływania juhasów i bacy. Hala żyje. Ale z tem życiem związana jest praca nielada. Pilnowanie i dozorowanie drobnego „statku“ — owiec i kóz, które szukają paszy nieraz na naj- bardziej stromych i niedostępnych upłazach i zbo- czach, spędzanie bydła trzy razy dziennie do dojenia, sam udój, warzenie sera i żętycy — to są trudy, którym nie byle kto podoła. Ale ów góral pasterz lubi to życie na swobodzie. W nędznym szałasie czy kolibie, w biednym przyodziewku, przy jednostajnej i skromnej strawie żyje on tu prawie oderwany od świata. Tylko od czasu do czasu śle posłańca w dziedzinę, a z nim konika zmyślnego, sprawnego i łagodnego, naładowanego obońkami, w których znajdziemy produkty mlecz- ne z hali, a gdy goniec znów wróci — przyniesie wieści od swoich, upragnione pieczywo, a nieraz i gorzałkę.

Zdawałoby się na pozór, iż życie pasterza w hali tatrzańskiej, czy na połoninie czarnohorskiej, jednakże wpływy wywiera. A jednak są różnice. „Chociaż połoniny — powiada Rehman — różnią się wielce od stepów, to nieda się zaprzeczyć, że wrażenie, jakie jedne i drugie czynią na umyśle człowieka, jest jednakowe. Widok tych niezmie- rzonych wyżyn, ogołoconych z drzew, ale poro- słych bujnemi trawami, nuży zarówno wzrok jak i umysł i budzi jakąś nieokreśloną tęsknotę, która jest szczególnym rysem w charakterze Huculów i odbiła się w ich życiu, w ich zwyczajach i prze- sądach, w ich bogatych utworach poetyckich. Obok nieograniczonego zamiłowania wolności, obok umy- słu niespokojnego, skłonnego do wybryków, wy- tworzyła się tu nieudolność, a nawet lekkomyśl- ność w sprawach życiowych“.



OWCE NA HALI.

Fot. Z. Sosnowski.

owiec, pomruki i poryki bydła, rżenie koni, ude- rzenia dzwonek, zawieszonych na szyjach krów,

Góral z Tatr jest bardziej czynny. „Tu życie owczarza — powiada Witkiewicz — nie jest tak kon-

templacyjne". Jego hale, zamknięte niebotycznymi turniami z jednej strony, a z drugiej ciemnym gąszczem lasu, nie dadzą mu ani zaznać tego spokoju, ani tęsknoty obudzić jak w Hurule, ale za to zmuszają do ciągłej baczności, do nieustannego czuwania. I choć wolność miłuje w górach wolnych, tak samo, jak brat jego z Czarnohory, ale pracować musi usilniej i szczerzej; choć niepogardza pijatyką i z przyjemnością jej się oddaje, jak Hucut, ale gdy czas pracy nadejdzie—zrobi za kilku... „Bo z tą naturą niema żartów i trzeba wielkiego zahartowania, dobrej znajomości zjawisk powietrznych, nóg pewnych i jak stal mocnych, wytrwałości i pamięci do rozpoznawania zagmatwanej sieci dróg, żeby nie zginać wśród tego chaotycznego na pozór świata... Te zmienności i różnorodności zjawisk utrzymują człowieka, skazanego na życie w halach, w ciągłym podbudzeniu uwagi, czujności i baczności“.

Dobrze, gdy jasne niebo zapowiada dłuższą pogodę, ale w tych krainach górskich rzadko natura się śmieje blaskiem pełnego światła. Czy można powiedzieć, na jak długo zwała się „cyrniawa“ — nawała ciemnych chmur, i jak długo

będzie prało deszczem, krupami czy gradem i śniegiem. Skąd wicher przyleci, a z nią zamieć śnieżna, szalona „fujawica“, w której samemu nawet trudno dać sobie rady, tak kręci, tak wiruje, tak sypie tumanami śniegu, a skostniały góral musi myśleć o ratunku dla owiec, by nie „zglewiały“—nie wymarły. Z nasypanych kopców i wydm śnieżnych grożą i spadają lawiny, zawałają drogi i szerzą zniszczenie w stadach. A czasem, choć dziś rzadko, zawita gość nieproszony, „on“—niedźwiedź, ryś, to znowu spuści się gwałtownie orzeł, na zdobycz



JUHAS Z OBOŃKAMI.

Podług S. Witkiewicza
«Na Przelęczony».

upatrzoną—i od nich musi bronić juhas swój „kierdel“.

Tak różne są warunki życia tu i tam i tak różne też własności i cechy charakteru wytwarzają. Ale gdy w jesieni spadną stalsze śniegi, zimno pędzi górala i stada jego w dziedziny na zimowy byt, by dopiero z nastaniem lata znowu wrócić na ukochane hale.

A więc warunki przyrodnicze, potrzeba korzystania z pastwisk górskich, zrobiły górala nie tylko pasterzem, ale i koczowniciem. I wędruje ze zmianą pór roku tak dobrze ten czynny i czujny pasterz z hal, jak jego pobratymiec filozof Hucut z połonin. W wędrowkach swych podobni—jak wielce różnią się oni w pracy na postojach i we własnościach swych duchów!

Paweł Sosnowski.

(c. d. n.).



HALA GAŚIENICOWA W ŚNIEGU (w początku sierpnia).

Fot. Z. Sosnowski.

Sosna w Drobindze.

Jednym z najgłówniejszych czynników, nadających charakterystyczne piętno każdemu krajobrazowi jest jego roślinność.

Inaczej zupełnie wygląda ten sam pagórek, otulony ciemnym lasem sosnowym, inaczej zaś gdy go obrośnie białolica i długowłosa brzezina lub najeżony ostrołukowemi wieżycami gaj świerkowy.

Wynika to z charakterystycznego oblicza każdego z drzew i krzewów naszych, rzeźbiących nasze krajobrazy w różnorodne linie i malujących go w różne tony zieleności i cieniów.

Człowiek, wczuwający się głębiej w obserwowane dokoła zjawiska przyrody, bez wszelkiej bliższej analizy naukowej, z taką samą łatwością na pierwszy rzut oka odróżni brzozę od olchy, sosnę od świerka, a dąb od grabiny i buka, jak z pierwszego wejścia rozpoznaje swych dobrych znajomych, witanych w przelotnym spotkaniu.

Cóż jednak stanowi to charakterystyczne indywidualne oblicze zewnętrzne, z którego już zdala najpospolitsze nasze drzewa poznajemy; jakie się na wyraz jego składają czynniki?

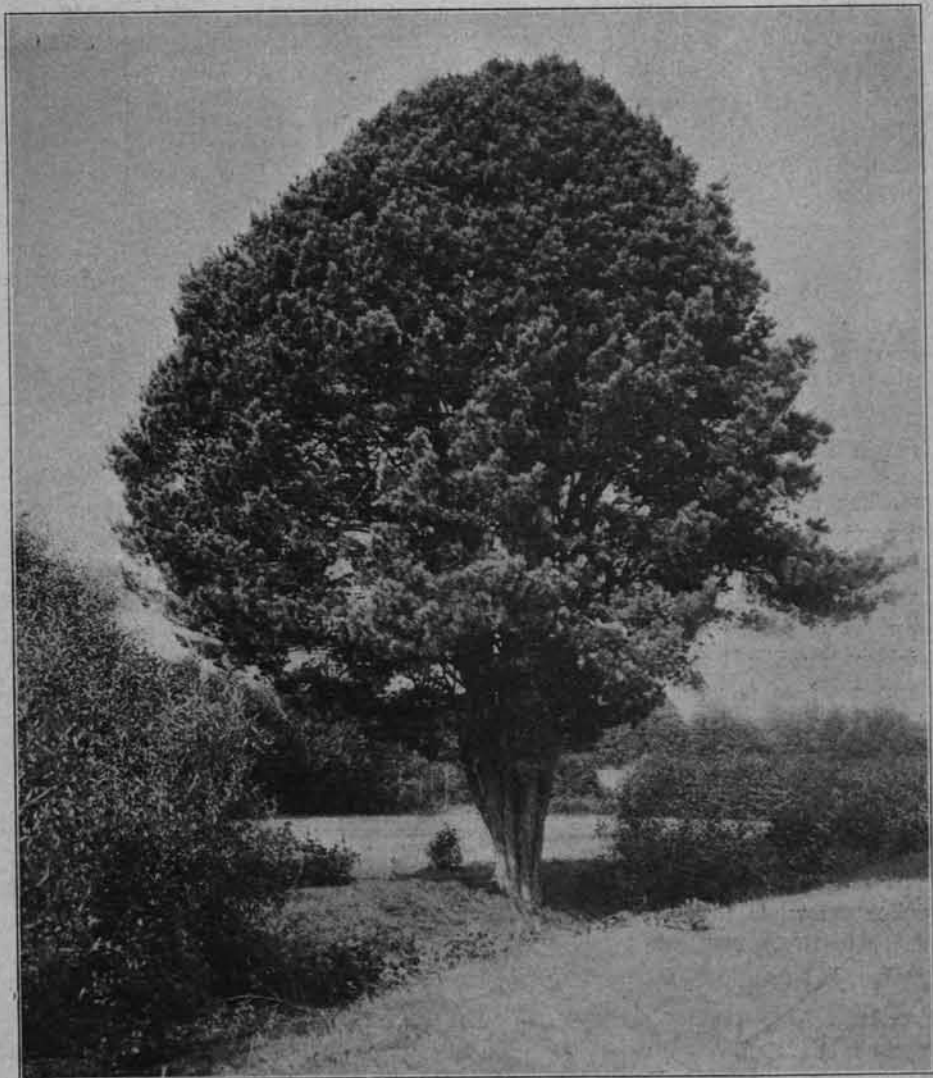
Wszystkie czynniki, kształtujące postać organizmu, dadzą się podzielić na dwie kategorie: 1) kierujące dziedzicznością, gatunkowe, i 2) przystosowawcze, indywidualne.

Czynniki te, rządzące zarówno światem zwierzęcym i roślinnym, jak i człowiekiem, działają współrzędnie, a rezultat tego współdziałania jest bar-

dzo różnorodny, zależny od przewagi tego lub innego wpływu, jego ilościowego i jakościowego napięcia.

Skala czynników przystosowujących jest tak szeroka, a wpływy warunków zewnętrznych tak różnorodne, że niekiedy dwa okazy tego samego gatunku lecz odmiennym podlegające wpływom, najmniejszego zgoła w obliczu swem nie okazują podobieństwa.

Zestawmy naprzykład obok siebie dwie sosny — jedną wysmukłą, na czubie swym niewielki dźwigającą wieniec gałęzi, bo wybujałą wśród gęstwinny wysokopiennego lasu, w mroku leśnym z dolnego ogołoconą igliwia, a drugą — krępą, przysadzistą, od stóp do głów gęstemi fałdami konarów i gałęzi otuloną, mieszkankę otwartej polany, do-



SOSNA W DROBINDZE.

Fot. K. Kulwiec.

koła zalanej potokami światła i na wolnej przestrzeni wszereż rozrośniętej.

Takie indywidualizmy, wybitnie i stale ujawniające się na osobnikach, przywiązanych do stałych warunków, niezmiennym podległych wpływom, na każdym niemal spotykamy kroku, i mijamy je zwykle bezmyślnie, jako okazy niegodne uwagi, zbyt na to pospolite...

A jednak...

Czy nie dźwiga na sobie pierwsza lepsza brzoza przydrożna sumy tych wpływów nieuchwytnych, minionych, które działały przez lat szeregi na nasze pola, łąki, moczary i drzewa?

Ona ma również swą historię, zapisaną niezatartymi zgłoskami na pniu i konarach, na korze i liściach, na prostej lub pochylonej kibici, godną zastanowienia i poznania.

Lecz są w przyrodzie indywidualizmy tak wyjątkowe, niepospolite i zagadkowe, że zasługują na miano osobliwości.

Pomijając postacie potworne, wywołane przez dłuższy wpływ niezwykłych, przeważnie szkodliwych czynników, o pniach powykręcanych, koszlawych, guzowatych, bliźniaczo zrośniętych, skręconych itp., spotykamy niekiedy formy roślinne, uchylające się całkowicie od swego typu gatunkowego, jak również od przeciętnej normy przystosowawczej.

Taką niezwykłą postać stanowi niewątpliwie sosna w Drobindze ¹⁾, w pobliżu Pren, nad Niemnem. Osobliwość drzewa tego stanowi gęsta, rozłożysta korona, kształtem swym ładząco podobna do lipy lub dębu; zamiast pnia pojedynczego posiada ona cały ich pęk, ściśle z sobą zespolonych, zrośniętych.

Podobne, wielopienne egzemplarze, osadzone na jednej wspólnej szyjce korzeniowej, zdarzają się zresztą nierzadko, lecz całość drzewa ma wówczas postać krzaczastą, wszereż, tuż nad ziemią rozłożoną. Występują one najczęściej wśród nieużytków na pastwiskach, gdzie za młodu były wielokrotnie przez bydło obgryzane. Przedstawiona zaś tutaj sosna w Drobindzie całą swą harmonią rozrostu i prawidłowym układem gęstych konarów zdaje się wyłączać przypuszczenie, aby powołać ją mogły do życia jakie bądź wpływy destrukcyjne. Wysokość jej wynosi około 10 metrów, średnica zaś korony około 8 m. W każdym razie okaz ten należy do tych niezwykłych zjawisk zagadkowych, nad którymi zastanowić się musi poważnie nawet specjalista — przyrodnik.

K. Kulwiec.

¹⁾ Wieś położona przy ujściu rzeczki Drobingi do Niemna.

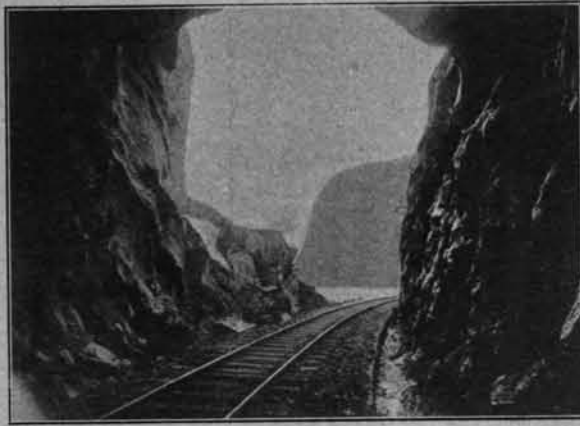
W krainie starego lodowca.

Ruszajmy więc z Chrystyanii wzdłuż wybrzeży morskich tam, gdzie góry i morza występują w całej swej potędze, gdzie siedziby ludzkie są liczniejsze, jedźmy w typową krainę fiordów przez Skagerrak i dalej na północ. Za miastem portowym Stavangerem znajdujemy się już wśród masy większych szkiei i wśród najwspanialszych fiordów. Imponują nam te wązkie długie zatoki, rozgałęzione często, jak rogi jelenia. Granitowe wybrzeża fiordowe, lesiste czasem u dołu, nagie u góry, prawie prostopadłe zwisają nad wodą, pozostawiając gdzieniegdzie wązki, niski pas koło wody zdalny do uprawy i do zamieszkania. Wspaniale mieni się błękitna, dosięgająca 1000 metrów głębokości woda fiordów, cicha, milcząca, wśród majestatycznych skał. Na oceanie zaś wre wściekła burza, fale uderzają o szkiery, słabnąc powoli; wązka, bardzo płytka gardziel, łącząca fiord z oceanem hamuje ich rozpęd. Ciszę fiordów przerywa tylko od czasu do czasu równomierny plusk wioseł lub żałosny jęk parowca.

Nie wszędzie jednak fiordy milczą, bo ze ścian prawie prostopadłych rzucają się gdzieniegdzie ze strasznym łoskotem w nurty fiordów rzeki, rozpylając się na białą pianę. A rzek na wybrzeżu Atlantyckim jest niemało, gdyż bliskość oceanu, silne parowanie wody, ogrzewanej przez ciepły prąd, Golsztröm, łatwość skraplania się pary wodnej na zwróconych ku oceanowi zboczach wysokich gór powodują bardzo częste deszcze. Woda rzek tych zasilana jest przytem stałe przez rozległe lodowce, zsuwające się z płaskich wielowiekowych szczytów granitowej Skandynawii.

Zbliżając się ku miastu Bergen widzimy coraz dłuższe fiordy i coraz bardziej skaliste szkiery. Szkiery bałtyckie Skandynawii wydają się obecnie maluczkimi. Mijamy jeden z większych fiordów przeszło 100-kilometrowej długości — wspaniały Hardanger-fiord, zwiastujący bliskość największego portu norweskiego nad Atlantykiem — Bergen.

Niestety nieustanne deszcze przeszkadzają nam



KOLEJ DO BERGEN.



TUNEL ŚNIEGOWY W DYRSKAR.

napawać się wspaniałymi krajobrazami. Nic dziwnego, tutaj rzadkie są dni jasne, słoneczne, szczególnie na jesieni; opady roczne trzy razy są tu obfitsze, niż w Warszawie. Gdy Warszawa opadów rocznych ma 60 cm., wysokie wybrzeża koło Bergen mają ich przeszło 180 cm. Gdyby więc woda deszczowa w ciągu jednego roku nie ściekała, nie ulatniała się i nie wsiąkała w skorupę ziemną, to sięgnęłaby nam mniej więcej do kolan w Warszawie, w Bergen aż do szyi.

Wtem przez mgłę odkrywa się przed naszymi oczyma i samo miasto Bergen, przytulone do gór. Miasto to po połączeniu koleją żelazną przez góry z Chrystyanią rozwija się szybko. Trudniejsza tu była budowa kolei, niż przez Alpy. 30 lat pracy usilnej w górach, gdzie mróz, twarde granity i strome wąwozy stawiały opór wysiłkom ludzkim, uwieńczona została zwycięstwem techniki i wytrwałości norweskiej.

Stary ten gród, którego handel do połowy XVI wieku znajdował się całkowicie w rękach żywiolu niemieckiego, obecnie ma charakter czysto norweski. Cały handel rybami, z którym złączony jest byt Bergen, ujęli w swe pracowite ręce wytrwali Norwegczycy. Odrazu na wybrzeżu widzimy, że jesteśmy w mieście, którego rozwój jest ściśle związany z połowem ryb. Szczególnie rzuca się to nam w oczy, jeżeli przyjeżdżamy na wiosnę w czasie połowu śledzi, które wtedy przypływają z głębin morskich bliżej do brzegów dla złożenia ikry. Wówczas z licznych łodzi wyładowują całe góry ryb, oprawiają je zaraz, wyciągając wnętrzności, rzucają do beczek, solą i wysyłają do innych krajów Europy w ilości miliarda funtów rocznie. Ilość śledzi jednak się nie zmniejsza, ponieważ jeden śledź może złożyć kilkadziesiąt tysięcy jajek. Do Bergen dostarczają śledzi nie tylko pobliscy rybacy, lecz także rybacy z całego wybrzeża norweskiego, szczególnie z miejscowości bardziej na północ położonych. Setki

tysięcy rybaków znajduje zajęcie w tem przedsiębiorstwie i zarabia na morzu, nie mogąc mieć dochodu ze skalistej, granitowej, pokrytej poczęści śniegami ziemi.

Z Bergen statek nasz płynie na północ wśród szkieł wciąż koło brzegów fiordowych jeszcze bardziej stromych, jeszcze bardziej rozgałęzionych niż przedtem. Wabią nas ku sobie nieznane, tajemnicze zakątki fiordów, skały zwisające nad nimi i śniegi bielejące w oddali na szczytach górskich. Trudno się oprzeć pokusie i nie puścić się w głąb łądu, gdy mijamy najdłuższy, wkraczający prawie 200 kilometrów w głąb łądu fiord, zwany Sognefiordem.

Po kilkogodzinnej drodze wśród majestatycznych skał nadbrzeżnych rozgałęzionego fiordu, dosięgającego gdzieś 5-kilometrowej szerokości przy głębokości dochodzącej do 1220 metrów, dopływamy do jego końca, wyskakujemy szybko na brzeg, wsiadamy zaraz na przystosowany do wąskich dróg górskich wózek jednokonny, kariolkę o dwóch kołach z siedzeniem dla jednego tylko podróżnika, i ruszamy w górę ku śniegom.

Malownicze drogi górskie wiją się tu przeważnie wśród rzek, szemrzących czasem w głębokiej rozpadlinie pod nami; jedziemy wśród skał niebotycznych, a obawa wstępuje w tchórzliwsze istoty, by głązy zwisające nad nimi nie runęły. Lecz to latem rzadko się zdarza, w zimie natomiast często spadają lawiny, grzebiąc u dołu w dolinach całe chaty i dobytek ich mieszkańców. Na szczęście trzęsienia ziemi nie nawiedzają tej krainy, gdyż wówczas skutki byłyby groźniejsze. Góry skandynawskie wypiętrzyły się oddawna; są to górskie staruszki wobec młodocianych Alp lub Karpat. Trzęsienia zaś zazwyczaj towarzyszą górrom młodym, tam, gdzie proces tworzenia się ich jeszcze nie zakończył ostatecznie.

Olbrzymie głązy i liczne rysy na zboczach dolin, powstałe od tarcia ruchomych mas lodow-



FIORD.



KOŚCIÓŁ W TANTOFT.

cowych żywo świadczą, że lodowce tu były niegdyś potężniejsze i grubsze niż we współczesnej Polsce. I nic dziwnego! Wszak jesteśmy w ich ojczyźnie. Tutaj prawdopodobnie śniegi pokrywały 10-kilometrową grubością powierzchnię skorupy ziemnej, obciążając ją znacznie. Stąd to sięgały one do gór niemieckich, do Karpat, poza Kijów! Bałtyk, będąc pokryty grubą powłoką lodową, nie stawiał oporu masom lodowcowym, które sunęły po jego grzbiecie. I teraz przed sobą widzimy lodowiec, ale tysiące razy mniejszy, niż ongi. Jednak i on na nas robi silne wrażenie. Pozornie wydaje się martwy, nieruchomy; tymczasem silny łoskot i tworzące się szczeliny na lodowcu, gdy w swym ruchu natrafia na znaczny spadek, mówią nam, że to olbrzymie cielsko się posuwa, choć bardzo wolno, gdyż lodowiec przechodzi przeciętnie 1 kilometr w ciągu kilkunastu lat. Po drodze masy lodowca stale ubywa pod wpływem ciepła słonecznego. Woda wsiąka w szczeliny, płynie w lodowych korytarzach, z bulgotem się przelewa, na koniec wybija się wesoło na wolność z zimnej jaskini.

Przewyciężywszy przeszkody w drodze swej po lodowcu, minawszy szczęśliwie szczeliny, wchodzimy wyżej i tu się nam przedstawia biała, śnieżna równina bez końca, bez żadnego punktu oparcia. Niema tu wcale nagich wśród śniegów turni tatrzańskich lub alpejskich; widzimy tylko białe, monotonne płaskowzgórza, mające kilkaset kilometrów kwadratowych, zwane w Norwegii fieldami. Otóż przed sobą mamy jeden z większych fieldów zwany Jötunfield; od niego na zachód ku Atlantykowi ciągnie się z lodowcowymi ramionami Jostedalb-bre, na północ zaś rozpostarł swą białą oponę na płaskowzgórzu — Dovrefield. Stoimy mali wobec tych obszarów śnieżnych, młodzi wobec

prastarych gór Skandynawii, które na swych bokach i szczytach niosą ślady działania wielu milionów lat. Ileż to czasu musiały działać wody, powietrze i organizmy, by znieść wysokie, strome szczyty, na których śnieg nie mógł się utrzymać, i zamienić je na rozległe płaskowzgórza, pokryte grubą warstwą śnieżną. Jak musiały być niegdyś wysokie te góry, jeżeli nawet teraz fieldy dorównują naszym Tatom wysokim. Najwyższy szczyt całego półwyspu Galdhøpid w Jötunfieldzie wznosi się około 2600 metr. ponad poziomem morza. Jeszcze bardziej imponują nam góry skandynawskie, ciągnące się wzdłuż całego półwyspu, swymi rozmiarami. Toż młodsze wiekiem Alpy i Karpaty razem nie zajmują takiego obszaru, jak one.

Ale jesteśmy już nad wschodnią krawędzią Jötunfieldu, który przebyliśmy na „ski“, doskonale przygotowanych do olbrzymich śniegów Skandynawii. Rozumiemy teraz doskonale, dlaczego sport na „ski“ w Norwegii i Szwecji osiągnął najwyższego stopnia rozwoju. Bez nich komunikacja po śnieżnych zaspach byłaby wprost niemożliwa nie tylko w zimie, ale nawet latem.

Przy pożegnaniu się z lodowcami, spływającymi z fieldów w kierunku wschodnim, zwraca naszą uwagę fakt, że tutaj bez względu na klimat surowszy, nie spuszcza się one tak nisko, jak lodowce zachodnie. Gdy linia wiecznych śniegów na zachodzie leży na wysokości tylko 1200 metrów, na wschodzie natomiast zaczynają się wieczne śniegi na wysokości aż 1600 metr. ponad poziomem morza. Zjawisko to stanie się nam zrozumiałe, jeżeli sobie przypomnimy, że zbocza wschodnie, odwrócone od oceanu, mają daleko mniej opadów wogóle, a śniegów w szczególności, niż zbocza zachodnie.

(d. n.).

Ignacy Dzierżyński.





PODANIA O ZWIERZĘTACH NA LITWIE I ŻMUDZI.

Żmudź i Litwa najpóźniej w Europie zostały przyłączone przez unię z Polską do rodziny narodów cywilizowanych, to też Litwini i Żmudzini bardziej od innych narodów europejskich zachowali wspomnienia z doby pogańskiej w postaci obrzędów, pieśni, podań, klechd, przesądów. Jednak wpływy chrześcijaństwa wycisnęły swe piętno na tych płodach dawnej wiary i fantazyi.

Niestety, dzięki różnym wpływom zewnętrznym, dzięki wychodźtwa do miast, do krajów obcych, coraz rzadziej można słyszeć stare baśni, podania i pieśni, i nie daleki może jest czas, kiedy o nich nawet pamięć zaginie, jeżeli nie będą skrzętnie zapisywane i notowane.

Już w XVIII w. jezuita ks. Naramowski podał kilka podań w swoim dziele dwutomowym, pisanem po łacinie p. t. „Facies rerum sarmaticarum in Facie Regni Poloniae, Magni q. Ducatus Lituaniae gestarum. Anno D. 1724”. Po kilka podań zapisałi: Ludwik z Pokiewia (Jucewicz) w dziele „Litwa pod względem starożytnych zabytków i t. d. 1846 r.” i Teobald w książeczce „Litowsko-żmudzkiego są przywiązane do rozmaitych wzgórz, pieczar, wielkich głazów, starych drzew. Lud ten jednak w czasach przedhistorycznych, a później mieszkając w puszczech pośród natury i mając wciąż do czynienia ze zwierzętami, ptakami, owadami, roślinami itd., poznawał ich właściwości, zaczął patrzeć na nie, jak na istoty rozumne i przypisywać im cechy boskie i ludzkie. Na tem tle powstały liczne podania, niekiedy bardzo poetyczne, świadczące o bogatej fantazyi Litwinów. Prawdopodobnie większa część tych podań poszła w niepamięć i została nazawsze dla nauki stracona. Sądzę tedy, że kilka podań o zwierzętach, zapisanych przezemnie w powiatach wileńskim, kowieńskim, telszewskim oraz w okolicach Połagi i Kretyngi, z dodaniem tych, które znalazłem u ks. Naramowskiego, Jucewicza i Teobalda, zostaną przychylnie przyjęte przez czytelników „Ziemi”, którzy może się zachęcą do zbierania klechd, baśni i podań ludu naszego.

* * *

1. **Ż u b r** (Żubris, Turas). Podania o tym największym w Europie zwierzęciu zupełnie już zaginęły. Jucewicz jednak przytacza piosnkę litewską, której za temat posłużyło następujące podanie. Pewnego razu niezliczona horda Tatarów zbliżyła się ku Podlasiu i groziła Litwie zalaniem

i zniszczeniem. Wtedy żubry postanowiły ratować ojczyznę, wszystkie co do jednego wyszły z puszczy Białowieskiej na spotkanie Tatarów i swoją groźną postawą i rykiem okropnym odstraszyły najeźdźców.

2. **K o Ń** (Arklis). Litwini wojownicy byli ogromnie przywiązani do swoich koni i kochali je niemal więcej niż żony i dzieci. To też dotychczas przechowało się niemało pieśni i podań, w których koń, niekiedy obdarzony nadprzyrodzonym rozumem, zgaduje przyszłość, ma nawet dar słowa. W niektórych baśniach koń ma srebrne kopyta, złotą grzywę i ogon jedwabny.

3. **P i e s** (Szunis, Szuwa). W pow. telszewskim, we wsi Lenkieme, przechowało się następujące podanie o psie:

Gdy ludzie zaczęli bardzo grzeszyć i zapomnieli o Bogu, ten zagniewał się i zesłał nieurodzaje. Nastał na ziemi głód straszliwy; nawet trawa nie rosła. Mieszkańcy wiosek i osad puchli z głodu i umierali. Pies, wierny przyjaciel człowieka, również ledwo żywy z głodu, wyszedł w pole i podniósłszy pysk do góry zaczął żałośnie wyć. A wył we dnie i w nocy tak długo, aż to wycie uprzykrzyło się Panu Bogu, który rzucił psu z nieba kawał chleba i kazał mu się uciszyć. Pies zaczął prosić Stwórcę, by i ludziom dał chleba, a gdy Bóg odmówił, pocziwie zwierzę nie tknęło chleba, wołąc cierpieć i umrzeć razem z ludźmi. Bóg, wzruszony taką wiernością, ulitował się nad ludźmi i zesłał niebywały urodzaj.

Tak to pies wyprosił u Boga przebaczenie dla grzesznych ludzi.

4. **K o t** (Katinas). Jucewicz podaje następującą legendę o pochodzeniu kota, z którą dotąd można się spotkać na Litwie, np. w pow. święciańskim:

W jednym domu zagnieździły się myszy w tak ogromnej ilości, że wszystko pożerały i stały się przyczyną nędzy gospodarzy. Zrozpaczona gospodyni w codziennych modłach błagała Matkę Boską o pomoc. Pewnego razu podczas modlitwy włościąnce ukazała się Najświętsza Panna, która rzuciła jej swoją rękawiczkę. Gospodyni podniosła ją i pośpieszyła do domu. Gdy rozwinęła fartuch, ujrziała zamiast rękawiczki ogromną kotkę, która wnet rozpoczęła tępienie myszy i wygubiła je do ostatka.

Z tego powodu w wielu miejscowościach Li-

twy kotkę zowią rękawiczką Najśw. Maryi Panny. Legenda ta jednak ma pochodzenie dawne i stosuje się do rękawiczki bogini Lajmy.

5. **N i e d Ź w i e d Ź** (Meszkis). Około Kretyngi na Żmudzi stare kobiety opowiadają, iż w niedźwiedzia został zamieniony za karę pewien niemądry chłop, Bałtrus. Pewnego razu staruszek, bóg pogański, wyszedł sobie na przechadzkę. Gdy przechodził po kładce na ruczaju, chłop Bałtrus, chcąc go nastraszyć, z za krzaku zarzyczał dzikim głosem. Bóg istotnie przeląkł się okrutnie, a gdy spostrzegł, kto był jego przestachu przyczyną, za karę zamienił Bałtrusa w niedźwiedzia, pozostawiając mu łapy ludzkie, jako przypomnienie, że niegdyś był człowiekiem.

6. **Wilk** (Wilkas), Lud litewski w pieśniach i podaniach poetyzuje wilka, czyni go dobrym, wspaniałomyślnym i nawet św. Jerzemu każe używać wilków do polowania, zamiast psów. W Połudzie słyszałem następującą legendę:

Dawniej wilk był bardzo dobry i poczciwy, mieszkał razem z człowiekiem, służył mu wiernie, bronił w potrzebie i pasał owce, za co wieczorem gospodynie dawały mu bochen chleba. Człowiek go lubił i nie krzywdził. Znalazła się jednak we wsi złego serca gospodyni, która rozpalwszy w piecu kamień rzuciła go zamiast chleba wilkowi, gdy on po całodziennej pracy ze stadem do

domu wrócił. Będąc zmęczony, zgłodniały i nie podejrzewając zdrady, wilk pochwycił kamień i boleśnie sobie oparzył pysk, który stał się czarny i taki odtąd na zawsze pozostał. Gorzkimi łzami zapłakał nad wyrządzoną mu krzywdą biedny wilk i oburzony taką brzydką niewdzięcznością poszedł ze skargą do Boga, który kazał mu mieszkać odtąd w lesie, zdala od niewdzięcznych ludzi, i pozwolił brać codziennie na pożywienie ze stada jedną owcę lub co innego. Od tego czasu wilk z przyjaciela stał się wrogiem człowieka i szkodzi mu, jak może.

7. **K o z i o ł** (Ożis). Według wierzenia dawnych Litwinów, kozioł służył za konia wiedzmi Gazdonie, która na nim po powietrzu na sabaty jeździła, bijąc go okrutnie. To też gdy Litwini słyszeli krzyk bekasa do koźlego podobny, myśleli, że to wiedźma lata w powietrzu na koźle, którego męczy. Lud litewski mniema, iż dyabeł ukażując się ludziom często przybiera postać kozła. Na tem mniemaniu zapewne jest oparte w pow. telszewskim i niektórych miejscowościach pow. kowieńskiego przebieranie się w karnawale. Parobczaki przebierają się za cygana, żyda i kozła, nakładając na twarz maski drewniane własnego wyrobu. Kilka takich masek, w ich liczbie maskę kozła, posiada muzeum Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie.

(d. n.).

Dr. Władysław Zahorski.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Na ostatnim posiedzeniu Zarządu głównego powzięto szereg doniosłych uchwał, dotyczących organizacji prac krajoznawczych i wydawnictwa „Ziemi” w roku 1911.

Między innymi zatwierdzono regulamin „Komisji do spraw oddziałów prowincjonalnych”.

Nowa ta Komisja ma na celu współdziałanie z oddziałami prowincjonalnymi w sprawie organizowania odczytów krajoznawczych, pośredniczenie pomiędzy oddziałami w sprawie wymiany okazów muzealnych oraz zbiorów bibliotecznych i fotograficznych.

Komisja ma za zadanie ożywić działalność tych oddziałów, które dla braku specjalistów w poszczególnych gałęziach krajoznawstwa, nie były dotychczas w stanie doprowadzić gromadzonych zbiorów do należy-

tego systemu lub podjąć jaką bądź poważniejszą pracę w dziedzinie krajoznawstwa.

Do Komisji powołany został szereg osób, które przed paru laty brały czynny udział w prowadzeniu oddziałów prowincjonalnych i najlepiej obeznane są z warunkami pracy na prowincji i jej potrzebami.

Wdowa po ś. p. Z. Głogrze, b. prezesie Towarzystwa, ofiarowała do zbiorów jego piękną kolekcję żarn przedhistorycznych, zgromadzonych w ilości kilkudziesięciu egzemplarzy przez szereg lat z różnych okolic kraju i przechowywanych w Jeżewie na Podlasiu.

Postanowiono przystąpić do ułożenia szczegółowego planu rocznika sprawozdawczego Towarzystwa za rok 1910 i przystąpić niezwłocznie do jego druku, tak iżby członkowie otrzymać go mogli już na początku stycznia r. p. W tym celu oddziały prowincjonalne winny nie zwlekać z nadesłaniem swych sprawozdań.

Redakcję Rocznika powierzono wiceprezesowi Al. Janowskiemu.

Nowych członków czynnych przyjęto 13.

Członkami korespondentami mianowano: ks. Leopolda Lenarda z Lublany i D-ra Ernesta Farnika z Cieszyna.

Porządek dzienny najbliższego zebrania miesięcznego, odbyć się mającego w dniu 7 grudnia o godz. 8 wieczorem w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zapowiada:

1. Referat d-ra Ludwika Sawickiego o „Czterech bramach karpackich“.
2. Komunikaty Zarządu.
3. Sprawozdanie z ruchu wycieczkowego.
4. Skrzynka zapytań i odpowiedzi na nie.
5. Pokaz krajobrazów na prezyciach.

Komisja wycieczkowa na sezon zimowy 1910/1911 roku zapowiada następujące wycieczki:

1) 10 wycieczek miejskich, prowadzonych przez p. J. Kwietniewskiego w dniach: 11 i 18 grudnia r. b., 6, 8, 15, 22 i 29 stycznia oraz 2, 5 i 12 lutego 1911 roku w godzinach od 9 rano do 12 w południe. Liczbę uczestników wycieczki określono na 30. Ceny biletów dla młodzieży 15 kop., dla członków 20 kop., dla gości 30 kop. Wycieczki mają na celu zwiedzenie wszystkich dzielnic Warszawy i to nie tylko śródmieścia lecz i jego krańców, jak Powiśle, Praga, dzielnica nalewkowska, wolska, powązkowska itp.

2) Wycieczka do Zakopanego, projektowana na święta Bożego Narodzenia pod kierunkiem K. Kulwiecia dla osób 50.

Wyjazd z Warszawy w czwartek 22 grudnia o g. 12 min. 10 w nocy, powrót w czwartek 29 grudnia o godz. 9 rano. Wieczór wigilijny w Zakopanem. Wycieczka zabawi 3 dni w Zakopanem, a jeden dzień w Krakowie. Ceny biletów kolejowych od Warszawy do Zakopanego i z powrotem: dla członków Towarzystwa po 12 rb. 50 kop., dla gości—15 rb. Sprzedaż biletów rozpocznie się 1 grudnia wyłącznie dla członków Towarzystwa, a od 7 do 10 grudnia i dla osób nie należących do Towarzystwa, a wprowadzonych przez członków. 11-go grudnia zapisy zostaną zamknięte. Koszty utrzymania podczas wycieczki przypuszczalnie wynieść mogą, stosownie do wymagań, od 3 do 5 rb. dziennie.

3) Wycieczka do Ojcowa na trzy dni 6, 7 i 8 stycznia 1911 roku odbędzie się pod kierunkiem p. J. Chełmińskiego, o ile spadną śniegi i będzie sanna. Liczba uczestników określona na 40. Wyjazd z Warszawy koleją Wiedeńską w nocy w czwartek 5 stycznia o godz. 12. Powrót w poniedziałek 9 stycznia o 9 rano. Cena przejazdu (kolej i konie) dla młodzieży 5 rb., dla członków Towarzystwa 6 rb., dla gości 8 rb. Zapisy będą przyjmowane od 22 do 31 grudnia.

* * *

Oddział kielecki zorganizował szereg wycieczek po mieście i najbliższych okolicach.

Zwiedzenie Kielc rozpocznie się od pałacu biskupiego pod kierunkiem pp. T. Włoszka i Z. Lenartowicza w niedzielę dnia 4 grudnia 1911 r. o godzinie 11

rano. Punkt zborny — Muzeum krajoznawcze, Bazarowa 14.

Następne wycieczki miejskie obejmować będą: kościoły kieleckie, fabryki marmurów, superfosfatów i hutę szklaną. Dalej Karczówkę, Białogon itd.

Zbiory muzealne Towarzystwa krajoznawczego przeniesione zostały do nowego lokalu. Zawierają obecnie rzeczy i przedmioty istotnie godne widzenia, np. całkowity grób przedhistoryczny naturalnej formy i wielkości, odtworzony artystycznie przez członka Towarzystwa p. Zdzisława Lenartowicza.

Zbiory muzealne wkrótce wzbogacone zostaną depozytem wspólnych medali i numizmatów, stanowiących własność p. Mieczysława Halika.

O przebiegu pogody w mies. październiku 1910 r.

(sprawozdanie wydziału meteorologicznego przy
-- Polskiem Towarzystwie Krajoznawczem. --)

Pogoda w ciągu października sprawozdawczego była w Królestwie wogóle chłodna i sucha. Pierwsza połowa miesiąca przedstawiała piękną porę jesienną, i jeszcze w dniu 13-ym października maximum temperatury w wielu miejscach przekraczało 21°C. Lecz w dniu 14-ym, który na morzu Bałtyckim zaznaczył się gwałtowną burzą, a w naszych kraju silnymi wichrami, nastąpił ostry spadek temperatury, poczem chłód ustalił się na czas dłuższy. Jednocześnie panujące poprzednio wiatry zachodnie zmieniły swój kierunek na wschodni. W środku trzeciego dziesiątka miesiąca nastąpiło nowe oziębienie, tak, że temperatury średnie dzienne spadły poniżej zera. Najniższą temperaturę (do 6°C) notowano d. 25 i 28.

Temperatura średnia miesięczna wynosiła przeciętnie 6,7° i była koło 1° niższa od średniej z lat ostatnich.

Jakkolwiek w październiku dni pochmurne występowały często, jednakże opady były bardzo nieznaczne, zwłaszcza w północnych i północno-zachodnich okolicach kraju.

W okolicach Zagłębia Górniczego opady były najobfitsze, ale nigdzie nie przekroczyły 30 mm. za cały miesiąc.

Średnia wysokość opadów za cały miesiąc wynosiła 12 mm. przy 5—6 dniach opadowych.

Tabela meteorologiczna.

a) Temperatura:

Nowa Średnia miesięczna 7,2°; Max. 18,8° (w dn. 13)
Stupia Min.—3,4° (w dn. 28)

b) Opady:

	Suche- dnów	Bieliny	Św. Krzyż	Nowa Stupia
Wysokość w milimetrach:	19	19	19	16
Liczba dni z opadem:	8	8	9	9

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Ewa Łuskińska.— *W obronie piękności kraju.*
(Z wydawnictwa Towarzystwa Upiększania Miasta)

